Nro 33. R. 1837. PIĄTEK 20 PAŹDZIERNIKA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

OŁTARZ ARTYSTY.
Legenda przez J. F. Castelli.

Budownik Nilsen, ukończywszy w Oxforcie spaniały kościoł i klasztor świętego Asafata, popłynął w początku XVII. wieku Tamizą do Greenwich, dla udania się ztamtąd do Genui, gdzie zamyślił wyszukać wzór na ołtarz, któryby świetną był ozdobą spaniałéj, przez niego wystawionéj świątyni. Nilsen był już podeszłego wieku, i wdowcem. Żona jego Editha Kilmore, dumna niewiasta, już mu była dawno umarła, i zostawiła mu jedynę córkę, łagodnego charakteru, jasnych włosów Maryę, która tak była rzadkich wdzięków, iż ją uczniowie z tameczn éj wszechnicy perłą Oxfortu nazywali, a wszystkie matki stawiały ją swoim córkom za wzór uprzéjméj dobroci i wielkiéj obyczajności. Nim się Nilsen wybrał w tę podróż, która nad jego zamiar przedłużyć się mogła, troskliwy o dobro swojéj córki, starał się wszelkiémi sposobami wprzód wydać ją za mąż, zabezpieczyć jéj przyszłość i wyjechać bez troski o los istoty, którą już samę jednę na świecie kochał. Lecz Marya była obojętną dla wszystkich, starających się o jéj rękę; jéj miłość i przywiązanie zdały się być zjednoczone w jednym tylko przedmiocie, a tym przedmiotem, był jéj ojciec. Nilsen życzył sobie, ażeby pozostała w Anglii, ale gdy Marya rozpłakana, padłszy mu do nóg, zaczęła go na świętą pamięć matki zaklinać, ażeby jéj pozwolił towarzyszyć w tę podróż; starzec rozczulony przywiązaniem Maryi, będąc już samą myślą rozłączenia się, do żywego tknięty, rozpłakał się z radości, i zezwolił wreszcie na to jéj żądanie. Wyjechali więc oboje i przybyli szczęśliwie do

Genui. — Zaledwie tylko Nilsen stanął w tém spaniałém mieście, udał się bez wszelkiéj zwłoki na zwiedzenie kościołów, w których przez porównanie i przez naśladowanie i zgłębienie wszystkich pojedyńczych piękności, chciał zebrać jednę całkowitą piękność do dzieła, które sam utworzyć zamyślił. Skończywszy prawie w przeciągu jednego miesiąca rysunek na ołtarz, zaczął się przepytywać o artystę wprawionego w sztukę rzeźbiarską, zdolnego do wykonania tego dzieła, ale o artystę tak młodego i tak jeszcze nieznanego światu, ażeby ten pracując razem z wsławionym już Nilsenem, nie zaciemnił sławy jego imienia. Lecz wszystkie poszukiwania były daremne; Genua liczyła wielu, ale już laurami uwieńczonych artystów, a Nilsen tych właśnie unikał. Nilsen byłby dał swoje życie, gdyby mógł kościoł świętego Asafata przyozdobić najpiękniéjszém i najdoskonalszém dziełem w całéj Anglii, ale byłby także zaprzedał duszę swoję, gdyby cały świat, zdumiéwając się nad tém misternném dziełem, niczyje, tylko jego wspominał imię. — Jednego wieczora utrudzony zwiédzaniem kościołów wracał Nilsen do domu, i z trwożliwością zapytał samego siebie, ażali słuszna jest, aby artysta stłumiał w sobie uczucie obywatelskie względnie swojego kraju; ażali nie powinien raczéj widoki osobiste poświęcić sławie, i podobnie jak wielcy artyści genueńscy, dla ojczyzny misterne utworzyć dzieło? Już był postanowił zrzéc się téj sławy, już miał stłumić w sobie to samolubne uczucie, gdy Marya wyszła naprzeciw niemu w pół ulicy z doniesieniem, że jakiś mężczyzna z miasta czeka na niego w domu. Nilsen, spójrzawszy jeszcze raz z podziwieniem na posągi świętych Szymona i Juda, wystawione nie daleko jego miészkania, a nié mogąc się dowiedzieć kto był ich mistrzem, pospieszył prosto do domu. Wszedłszy do przedpokoju, zastał w nim młodego mężczyznę, przypatrującego się świętemu Asafatowi, który wyrysowany wisiał na ścianie. Młody mężczyzna ten posłyszawszy szelest, sprawiony przy wéjściu, obrócił się spieszno ku drzwiom, i spostrzegłszy starego mistrza, zbliżył się o kilka kroków ku

niemu, pokłonił się z głębokiém uszanowaniem, a potém stanął w milczeniu, jak gdyby oczekując, azali Nilsen sam go nie zapyta o przyczynę jego przybycia. — Młody ten człowiek wyglądał bardzo nędznie. Był słuszny, chudy, pochylony i bardzo ubogo ubrany. Litość zdéjmowała, patrząc na jego twarz ciérpiącą: ostre i mocne poorały ją bruzdy. Patrząc na niego rzekłbyś, że ten człowiek żyje w największym niedostatku, że nié ma szeląga na kawałek chleba dla zaspokojenia swego głodu, a jednak niktby nie śmiał go żadnym datkiem wesprzéć, taka szlachetna wzniosłość malowała się w jego bladéj i chudéj twarzy, każdyby poznał za piérwszym rzutem oka, że ten człowiek pochylony, podniósłby się z dumą, i uchyliłby od siebie ze wzgardą podobne dary; że to posępne i prawie przygasłe oko, strzeliłoby gniéwu błyskawicą na tego, coby go śmiał tym sposobem poniżać. Nilsen postrzegł to wszystko, i nie wiedział sam jakimby sposobem dopomódz temu obcemu człowiekowi; był bowiém mocno przekonany, że go tylko prośba o jałmużnę sprowadziła do niego. Czekał więc pokąd się nie oswiadczy, a przybyły spodziéwał się przeciwnie, że budownik sam uprzedzi go w téj mierze i sam zacznie rozmowę. Po niejakiém milczeniu, które zdało się być uroczystém, zaczął Nilsen w najdelikatniéjszy sposób pytać się młodziéńca, jaki do niego sprowadza go interes, i czém się mu przysłużyć może, prosząc przytém o przebaczenie, że tak długo dał mu czekać na siebie, gdyż nie jest panem swojego czasu. — »Wiém o tém,« odrzekł młodzieniec drżącym głosem, wlepiwszy w Nilsena swoje błagające spójrzenia. »Wiém o tém panie, iż prawie od mięsiąca szukasz w Genui rzeźbiarza, którymby się podjął pracy dla ciebie.« — »Tak jest,« odpowié Nilsen, »wiészże także i o tém, że go nié mogę znaléźć? — »Wiém.« — »Czy nié mógłbyś mi przypadkiem kogo nastręczyć? mój przyjacielu!« — »Mógłbym, panie!« — »Bądźże łaskaw i zaprowadź mię natychmiast do tego człowieka, będę ci mocno obowiązany. Maryo! daj mi czém prędzéj laskę i kapelusz.« —

»Nie trudź się panie,« ozwie się młody człowiek, którego twarz, gdy wymawiał ostatnie słowa, wyjaśniać się zaczęła; »on sam przyszedł do ciebie. Jato jestem tym człowiekiem.« A jeniusz, który w téj chwili błysnął z ócz jego, dowiódł, że mówił prawdę. — Nilsen niészany, że się pomylił, ujął za rękę młodziéńca, i chciał się uniewinniać, ale nié mógł słów wynaléźć. — Marya równie pomiészana spuściła w dół oczy, i korzystając z téj sposobności, oddaliła się z pokoju. — »Gdzież twój warsztat? gdzie pomiészkanie?« zapytał Anglik, jesze nie przekonany zupełnie. — »Ja nié mam warsztatu, ani pomiészkania,« odpowiedział młodzieniec z żałośnym uśmiéchem. »W dzién pracuję tam, gdzie mam robotę, a noc przepędzam u jednego francuzkiego malarza.« — »Któż był twoim nauczycielem?« — »Ów mistrz wielki: Michał Anioł Buonarotti.« — Nilsen pochylił głowę z uszanowaniem, zapomniawszy, że ten wielki artysta już dawno był w grobie. Dopiéro poźniéj spostrzegł swoję omyłkę, i urażony spójrzawszy ironicznie na Genueńczyka, odezwał się nieco dotkliwie: »Mój przyjacielu, jesteś jeszcze za młody, abyś sobie żartował ze starca, jakim ja jestem.« — »Jak mi Bóg miły, mój panie!« odparł cudzoziemiec, »już od dziesięciu lat dzieła Michała Anioła były memi wzorami; teraz liczę dwadzieścia i dwa; wierzaj mi, że tylko na tych wielkich wzorach wprawiałem mą rękę, żaden człowiek dotychczas nie uczył mnie kierować dłutem i nie prostował moich błędów.« — »I dałżeś już tym sposobem dzieła jakie światu?« zapytał Nilsen głosem szyderczym. — »Dotychczas jeszcze mało, ale czuję w sobie siłę, i mam ochotę do utworzenia dzieł niepospolitych.« — »Czy znasz dokładnie miasto Genuę?« — »Jestem ztąd rodem.« — »Czy nie powiedziałbyś mi, czyjego dłuta są te dwa posągi świętych Szymona i Judy, które stoją tu niedaleko mojego pomiészkania?« — »Te posągi zrobione są przeze mnie,« odpowiedział skromnie młodzieniec. — »Jako? przez ciebie młodzieńcze? Jakże się nazywasz?« zawołał Nilsen powstawszy. — »Piotr Tadolini.« — Piérwszy raz usłyszał Anglik to nazwisko. Te więc dwa spaniałe posągi, które po-

dług jego mniemania nie podobna było opłacić złotem, te dwa głazy przeobrażone misternie w żyjące postacie, które prześcignęły wszystkie posągi, jakiémi się Anglia pochlubić może, te dwa nieśmiertelne, boskie dzieła, przed któremi on, przechodząc codziénnie, za każdą razą omal z podziwienia nie uklękał, utworzył biédny nieznajomy, w liche szaty przyodziany młodzieniec, u niego pracy szukający! Nilsen nie posiadał się z radości. — Zbliżył się czas wieczerzy. Nilsen zaprosił Piotra, aby z nim siadł do stołu. Marya, w któréj oczach zajaśniała radość niebiańska, usługiwała im. Marya znała już Piotra. Wychodząc z domu widziała go nie raz stojącego koło jéj pomiészkania. Piotr ścigał ją oczyma, a spójrzenia jego przekonały ją, że tylko dla zobaczenia jéj, tak często przebywa na tém miéjscu. Dzisiéjszego dnia przyszedł do niéj z pokorną prośbą, aby mu pozwoliła zaczekać na swego ojca. Tkliwym i drżącym głosem przemówił do niéj, że zamyśla podjąć się pracy w warsztacie jéj ojca, i najchętniéj poświęci połowę swego życia i sławę swego kunsztu, byle ją tylko częściéj mógł widywać. Marya, zmiészana jego mową, nie wiedziała sama, co mu na to powiedzieć, i z zapłonionėm licem wybiegła na przeciw ojcu, którego właśnie przez okno idącego postrzegła; jednakże cieszyła się niezmiernie, iż znalazła serce, które chociaż pod ubogą osłoną, było dla niéj życzliwe. — Młody Tadolini został spółpracownikiem Nilsena. Anglik pokazał mu plan, a rzeźbiarz podjął się wykonać go z niektóremi małemi odmianami, które podał mu pod rozwagę, i przez to samo okazał nowy dowód swojego jeniuszu. Obadwaj artyści upatrzyli i wybrali najpiękniéjsze bryły karraryjskiego marmuru, bowiém zakonnicy klasztoru świętego Asafata nie skąpili Nilsenowi znacznéj summy na zakupienie potrzebnych materyałów. Nilsen najął wielką pracownię; Piotr zamknął się w niéj, i z taką pracował usilnością, że nawet chwil do spoczynku sobie ujmował. Ale Marya, odwiédzając go bardzo często z swoim ojcem, osładzała mu gorliwość jego.

(*Dokończenie nastąpi.*)

———

O N.

„Co ci dziécię, że od rana
Tak wciąż jesteś zadumana?
To się niechcesz bawić z braćmi,
To ci oko łzą się zaćmi,
Czy masz jaki smutek skrycie,
Co to, powiédz, lube dziecię »
— «Nie mamo, nie smutek żadny,
Ja dziś miałam sen tak ładny,
Tak mi o tém myśléć miło,
Tak mi się to dziwnie śniło!»
— «Cóż to znów za sen był taki?
Powiédz, moje dziécię, jaki?»
— «Naprzód śniła mi się mama,
Gdzieś nad wodą była sama,
O mnie coś mówiła wiele,
A ja że byłam w kościele;
Wszystkie nas tam dzieci wzięto,
Jakieś było wielkie święto.
Ja, niby z kwieconą głową,
Ubrana w sukienkę nową,
Wjakąś taką białą, mléczną,
Bardzo, bardzo, dziwnie śliczną!
Otóż, gdym w tym stroju była
Takem słodko się modliła,
Że modląc się przez czas cały,
Jak wczoraj mi łzy spadały;
A On brał, i temi łzami
Tak się bawił jak perlami.»
— «Kto?» — On «Któż?.. On wciąż
(to samo,
Któż on? — «On sam, droga mamo,
Bo ja niewiém kto On taki.»
— «Któż on był?.. jakie miał znaki?
— «To wiém tylko z jego znamion,
Że dwa skrzydła miał z dwóch ramion;
Lecz czasem gdy ruszył szyją,
Zdał mi się kwiatem, liliją
Potém światło, lecz nie płomień,
Tylko jakiś blask szedł, promień;
Późniéj, ten sam, ja nie umiem
Opowiedzieć, nie rozumiem,
Skrzydła gdzieś mu jak śnieg spadną,
A on stał się taką ładną
Jakąś pieśnią, taką miłą:
I wszystko tak dziwnie było...
Ale cóżto? Czy się lękasz,
Powiedz proszę? ty uklękasz?»
— «Klęknij przy mnie, dziecie moje,
Będziem modlić się we dwoje.
Szczęśliwy! takie sny czyje,
Ja przeczytam litaniję
Do twego Anioła Stróża,
A twój głos niech ją przedłuża;
Proś go jeszcze temi łzami:
Przyczyń się, módl się za nami!!

KWIATEK.

Usnęło słabe dziécię. Matka, krewni,
Modlą się przy niém, czekają....
Kiedy się zbudzi? czy pozna gdzie matka?
Wczoraj z obrazku od świętego skroni
Co jest nad łóżkiem naparło się kwiatka;
Dano mu. Dotąd nie puszcza go z dłoni.

Obie sie rączki na piersiach mu składły,
Trzymały kwiatek, dawno zwiędły,
(zbladły...
W tym patrzą... błysnął jakby w dniu
(rozwicia!
Nagle przepłynął przez niego zdrój
(życia,
Tchnął wonią kwiatek!... chwilę tyl-
(ko trwało.
Odkryli dziécię. W te chwilę skonało.
